Ner 17. Kraków, 29go Kwietnia. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

W numerze 3cim naszego pisma, pod dniem 21go stycznia b. r. ogłosiliśmy, że nakładem Redakcyi drukują się

Sonety Michała Anioła, spolszczone przez Lucyana Siemieńskiego.

Donosimy, iż już wyszły w pięknem wydaniu w oryginale włoskim i w tłómaczeniu polskiem.

Nazwisko autora i tłumacza zaręcza wartość dzieła.

Egzemplarz sprzedaje się w Redakcyi *Niewiasty* i we wszystkich dobrze znanych księgarniach w ces. Austr. po 2 zł. a. w.; w państwie Pruskiem po 1m talarze, a w państwie Rosyjskiem po 2 ruble sr.

Skład dla Królestwa Polskiego i Cesarstwa rossyjs. w Warszawie, w księgarni pp. Gustawa Gebethnera i Wolffa przy ulicy *Krakowskie Przedmieście.*

Tym, którzy zaprenumerowali, rozsyłają się w tej chwili egzemplarze; reklamacyj po upływie miesiąca uwzględniać się nie będzie.

Do dzieła dodane jest popiersie autora dobrze wykonane.

Prenumerujący na *Niewiastę* lub *Bibliotekę Polską* mogą mieć *Poezye Michała Anioła Buonarottego*, przełożone przez *Lucyana Siemieńskiego* z opuszczeniem 25 %, byleby się zgłosili do *Redakcyi Niewiasty* w przeciągu ośmiu tygodni od dzisiaj.

W Krakowie d. 29 kwietnia. 1861 r.

Redakcya.

Początkowe Wychowanie.

Gdzie ma się poczynać wychowanie młodzi i dziatwy polskiej? Na to łatwa i jasna odpowiedź: w domu rodzicielskim. Rodzina bowiem tem jest w narodzie, czem korzeń u roślin. Gdzie rodzina zdrowa, tam cały naród jędrny; gdzie rodzina strupieszała i znarowiona, tam i naród podobniuteńki. Gdy rodzina ma cnoty, to i naród jaśnieje aureolą cnót; jaki żywot i byt rodzin, taki żywot i byt narodu, bo rodzina jest podstawą i rdzeniem każdej społeczności! Skoro chcecie matki Polki, aby naród polski był zdrowym i jędrnym, dbajcie o rodziny wasze, dbajcie o dziatwę. Jak latorośl czerpie z pnia życie; jak roślina ssie korzeniem macicznym z ziemi, a liściem z powietrza swe siły: tak wasze dzieci, te latorośle naszej krwi i aniołki z niewinnego raju, czerpią swe życie fizyczne i duchowe w rodzinie, t. j. z ojca i matki. Organizm rodzicielski polski dał życie organizmowi dziecięcia, i duch rodzicielski polski ma rozbudzić ducha dziecięcia, więc po polsku. Jaki to grzech wielki dać dziecku polskiemu Francuza lub Anglika za najpierwszego nauczyciela! Nie myślcie Panie, że to jedno! o nie! Francuz, Anglik lub Włoch to wprawdzie ludzie, to nasi bliźni; ale to różne natury, to inne osobowości! Mogą być poczciwi, wolnomyślni; ale to nie polska poczciwość, ani nie polska krew, ani nie polska wolnomyślność. Dążność Włocha, Francuza i Anglika całkiem różna od dążności Polaka. Tego wam niepotrzebuję dowodzić. Kto prawo Boże przekracza, odbiera za to karę! I Polska katolicka odniosła i odnosi chłostę bożą za skoślawienie rodzin polskich, za wykrzywione wychowywanie dziatwy polskiej, za owe gromady Francuzów, Włochów i t. d. w domach polskich! Niech sobie Panie wspomną lata poślednie, a kto to uczył dziatwę polską w domach szlacheckich i magnackich? A jaka to była ta dziatwa polska, którą prostak Francuz albo Włoch uczył obcego języka i obcych obyczajów? Zasłońmy tę smutną przeszłość i raczej powiedzmy: „Boże odpuść, bo niewiedzieli co robili!“ Ale my dziś wiemy i znamy naszą niedolę, nieróbmyż tak, jak robili poprzednicy! Któż ma uczyć polskie dzieci w domu? Ma je uczyć ojciec sam, a osobliwie sama matka. Mówię tu o dzieciach, które są w domu do pewnych lat: bo czyż może kto zastąpić ojca lub matkę dzieciom? Nikt, bo prawo Boże niezmienne. Nikt niepotrafi tak gorąco kochać dziecięcia jak rodny ojciec i matka, nikt też nie zdolny do prowadzenia dziecka tak, jak sami rodzice, bo dziecię trzeba miłością prowadzić: dla niego niema praw jeszcze! A tylko rodzice mogą miłością samą cuda robić! Sto nauczycieli dobrych nie zastąpi serca ojcowskiego! Ani głośne bony nie zastąpią serca matki! Oczy Argusów nie zastąpią oka matki. Świat cały nie stanie za pieczołowitą rękę matki! Nie darmo wlał Bóg tyle żaru i miłości w serce matki — ono też, jak słońce, nigdy nie wyczerpane! Choć matkę obdarza Bóg liczną dziatwą, ma ona dla każdego zasoby miłości nieskończonej, ma ona dłań

i łzy obfite i chęci do ofiar, o jakich obcy człowiek ani marzyć nie podoła. O tak! nie ma w sercu matki żadnej granicy, jak jej nie ma w nieprzejrzanej przestrzeni. Miłość matki poczyna się nad kolebką dla dziecka, ale gdzie i kiedy się skończy? Matka chce gardzić dzieckiem, kiedy godne pogardy, ale czy ona przestała je zupełnie kochać? Nie ma matki, coby nie miała żadnej miłości dla dziecka; ale za to są matki, które tej miłości macierzyńskiej nie podają dziecku w pełnych i sprawiedliwych czarach, bo albo im zepsucie, albo moda lub niemądry zwyczaj tego nie pozwala. Nie róbcie Matki-Polki grzechu, który bywa po domach szlacheckich, nie oddawajcie waszych dzieci w ręce obce; a wam wiedzieć o obowiązku matki, wprawdzie nie łatwym, ale słodkim i najświętszym, bo go Bóg wpisał w wasze serca. Dziecko, odwykłe od matki, nigdy jej po dziecięcemu kochać nie będzie; dziecko, które nie ma nauki pierwszej od matki, nie będzie miało dla niej później wdzięczności zupełnej. Za odtrącenie dziecka od piersi i serca matki karze Bóg! a nie masz na świecie większej kary dla rodziców, jak występki ich dzieci — i nie masz większego szczęścia dla matki nad cnoty dziecka! Matki! jeżeli chcecie mieć pociechę z dzieci swoich, trzymajcie je w domu; uczcie je same mówić po polsku, po polsku czuć i kochać, po polsku myśleć, po polsku żyć i pracować — a bony niechaj jedynie pilnują dzieci, niechaj je chronią od wypadku, ale niechaj nigdy nie uczą za was, chyba, że te bony są równie polskiemi matkami, że są znane z polskiej uczciwości — lecz i w tym razie nie wypuszczajcie dzieci nigdy z opieki waszej, same je wychowujcie, a będzie wam naród za to obowiązanym i nawet wdzięcznym! Zaglądnijcie w dawne czasy polskie, tam znajdziecie wzory dla siebie! Nie zapatrujcie się na nieszczęśliwe czasy Sasów i króla Stanisława Augusta Poniatowskiego! Czego mają uczyć rodzice polscy w domu swe dzieci? Dla Matek-Polek nie potrzebnem uważam to pytanie, bo Polka dobra chce widzieć w dzieciach Boży i polski świat i do tego prowadzi wszelkiemi sposobami. Jednakżeby i na to pytanie odpowiedzieć: co jest prawdą? powołuję się na prawo boże. Oto sam Bóg wskazuje w całej niemej i żywej naturze, czego powinna matka uczyć swe dziecko. Każde ptasze dba o pisklęta i nie śpiewa nad gniazdeczkiem innej piosnki dla piskląt, prócz swojej rodzimej, którą ma od Boga, a śpiewa ją dla tego, aby się młodemu ptaszęciu rozwiązał język, aby mu się piosnka matki i ojca wbiła w pamięć, aby później wyśpiewało dziecię ptasze dobrze i dokładnie piosnkę rodzicielską. I piskle biega za matką i powtarza i próbuje, co mu matka wyśpiewuje. I każde zwierzątko, co leży ślepe i słabiutkie w norze, a słyszy ryk lub głos matki i ojca, słucha ryku miłego i naśladuje go, chociaż świata nie widzi. I nigdy nie ryczy inaczej, ani się nie odezwie innym głosem, tylko głosem matki i ojca.

To samo prawo boże jest i dla ludzi prawem. I dziecię ludzkie słucha dźwięku słów matki lub ojca, wbija je sobie w pamięć i potem tak mówi i śpiewa, jak go uczono. Czyż Polka-Matka nie powinna tak samo uczyć dziecięcia języka i ojczystych pieśni najpierwej? Czyż to nie jest przekręcaniem prawa bożego: uczyć polskie dziecię pierwej po obcemu, niż po polsku? Kiedy was Bóg stworzył o Matki zacne! Polkami, niechże Polakami będą i dziatki wasze. Jest na dziatkach polskie ciało na polskich kościach: jest w nich polska dusza; dla czegóż nie mają śpiewać najpierwej po polsku? Kto prawo boże przekracza, odnosi karę. Dzieci powinny być przy rodzicach, wszakże dzieci ludzkie bardziej podlegają śmiertelności, niż pisklęta. Pierwsze słowo matki do dziecięcia powinno być polskie, gdy Polka jest matką, i język ojczysty ma być podwaliną nauk wszystkich! Na co się przyda Francuzka, Włoszka dziecku polskiemu? na co się przyda obce serce, interesowna i kupiona ręka, najęte oko i obca natura cudzoziemki polskiemu pacholęciu? Obce słowo, to nie polskie słowo, obce serce, to nie polskie serce — myśl obca, to nie polska myśl, a żywot polski odrębny od żywota całego zachodu, wschodu i południa!

Opieka obca nad dziecięciem znaczy tyle, co wzięcie roślinki ze słońca, a zaniesienie do ciepłej piwnicy, albo do ogrzanego pokoju. I murowana ciepła piwnica, i pokoik ogrzany z wielkiemi oknami nie zastąpią promieni słońca w czystem powietrzu, ani rosy niebieskiej nie dadzą. Tak samo dzieje się i z małem dzieckiem! Tu matka jest słońcem promiennem i najcieplejszem — jej serce to wulkan, zkąd płynie miłość — jej oko to błękit nieba, zkąd spada czysta rosa w kroplistych łzach na czoło dziecięcia — jej opieka, to prawdziwe namiestnictwo boże dla dziecka, bo matce oddaje Bóg dziecię w ręce, bo matka nosiła je pod sercem i już je karmiła krwią i strzegła go, kiedy go żadne oko ludzkie niedosięgło! Pierwszych nauk t. j. języka ojczystego itd. powinna sama matka udzielać. To jest obowiązek święty, bo go Bóg prawami swemi w naturze całej ogłasza. Ale i ojciec powinien dopomagać matce, ile podoła. Mówię „ile podoła", bo zawód ojca jest znowu inny. Mężczyzna to człowiek siły, rozumu i czynu! On też dźwiga brzemię domu, rodziny i ojczyzny! On, to atlas starodawny, na którego barkach spoczywają dzieje teraźniejsze kraju! On to Apollin ziemski, który jedzie na wozie dziejowym i kieruje nim pod rządem Opatrzności! On król ziemi i natury, jego zakres działania obszerny, nie może się też zaskorupiać jak ślimak w domu swym, on ma narodu szalę i losy narodu przed sobą. To uniewinnia ojca, jeżeli bezpośrednio nie może się zająć wychowaniem dzieci — ale matki nic nie uwinni, bo to przeznaczeniem jej: rodzić i wychowywać dziatki. I nie ta prawdziwa matka, która urodziła dziecię; ale ta która mu dała wychowanie zacne.

X. Wojciech M...

PIERWSZA EPOKA

DZIEJÓW NARODU POLSKIEGO.

Z mytów czyli bajecznych powieści i podań, jako z podziemnej i niezgłębionej otchłani zdrój wody wytryskujący, wypływa życie dziejowe każdego narodu w ogólności, a tak samo w szczególności i narodu polskiego. Lecz bajeczne podania, aczkolwiek nie dają nam jasnego pojęcia rzeczy, mają także swoje znaczenie, bo i w nich czuć się daje jakaś prawda. W każdem mniej więcej podaniu bajecznem ukrywa się prawda, którą duch ciemny przeczuwał, lecz jasno wyłożyć nie umiał. Inaczej pojmujemy już dzisiaj prawdę dziejów w powszechności, dziejów wszystkich narodów w ogóle i każdego, a więc i naszego narodu, w ludzkości. Im bardziej oddala się od nas widnokrąg przeszłości, tem trudniej go dojrzeć, bo nieprzyświecało tam jeszcze jasne słońce wieków późniejszych. Życie umysłowe nie było jeszcze dość rozwinięte i nie było sposobów ku temu, by z żywiołów palnych ukryty wydobyć pło-

mień i światło jego w skarbnicy nauk zachować dla wieków potomnych. Otóż pierwsze chwile życia i dźwigania się narodów z ich nicości, pierwsze chwile sprzęgania się z sobą żywiołów w ciemnym chaosie, jak mgliste obłoczki, porozrzucanych, — są to chwile życia niemowlęcego: naród, jak dziecię przy piersi matczynej — ogląda się po sobie, okazuje znaki życia, ale nie jest w stanie wypowiedzieć tego jasno i zrozumiale, co się w nim i około niego dzieje.

Ztąd też pochodzi, że podania, legendy ludowe są jako poetyczne utwory na tle imaginacyi więcej, niż prawdy, osnute. Lecz jakkolwiek niedokładnemi są wszystkie podania, odnoszące się do pierwotnych dziejów narodu naszego, nie należy ich przecież zupełnie odrzucać, bo stanowią one niezbędny wstęp do przyszłego życia narodu. Jest on ciemny i mistyczny, nito ciemny i ciasny przysionek, który wszakże prowadzi do świątyni oświetlonej i przestronnej.

Wstęp do dziejów narodu, który ma wielką i piękną przyszłość przed sobą, nie może polegać tylko na opiece ludzkiej: bo jak człowiek pojedyńczy nie stanie się sławnym i wielkim, jeżeli od dzieciństwa nie czuwają nad nim rodzice, jeżeli nie pracują nad ukształceniem duszy jego mistrze i nauczyciele, jeżeli nie czuwają nad każdym krokiem jego, by postępował w kierunku prawej i prostej drogi; tak i nad familiami, nad narodami czuwać musi Opatrzność boska, jako matka dzieł wielkich i cudownych, matka zbawienia narodów, wielka, święta — najświętsza! A jeżeli potrzebną jest opieka ta w życiu narodów rozwiniętem, które swój byt mają już zapewniony, to jeszcze bardziej potrzebną jest w chwilach, gdy naród nie osięgnął jeszcze szczytu swojego przeznaczenia, i zatrzymywać się musi w pochodzie, by nie wpaść w zastawione przez licznych nieprzyjaciół sidła. W tym razie niezbędną się staje wyższa opieka, a wszakże nie od razu okazuje się jej owoc, jak i w naszym narodzie okazywać się począł widocznie wtedy dopiero, gdy naród przyjął religię Chrystusa, która, dając spokój i zbawienie duszy — uświęca i wzmacnia ducha narodowego, użycza mu niejako skrzydeł anielskich, by się wznosił i potęgował, aby naród stawał się coraz bardziej ożywionym ideą posłannictwa swojego. Owóż jeżeli i wstęp do dziejów naszych ma swoje znaczenie, to głównie także i dla tego, że w nim złożoną jest poniekąd zapowiedź tego, co się w nas i przez nas w ciągu wieków przyszłych spełniać miało. I tak np. podanie o Krakusie, któremu przy pomocy szewca udało się zgładzić straszliwego smoka, z którego paszczy jadowita i trująca buchała para, a któremu codzień bydlęta na pożarcie dawać musiano, by się niebrał do ludzi — jest niezawodnie fikcyą, ale objawia nam tę prawdę, że Krakus był dzielnym książęciem — a przytem nie dumnym, skoro nie gardził stanem miejskim — i aby wybawić swój lud od strasznego potworu, który żywił się nietylko jego dobytkiem, ale i oddechem swoim zatruwał powietrze okoliczne — przyjął radę skromnego szewca Skuby, i co szewc uradził i zrobił — książę, jako władza wykonawcza wprowadził, w życie i w czyn, — książę zaaprobował pomysł szewca, który wyobraża nam dzisiaj reprezentanta ludu — książę połączył się z ludem przez szewca — a potwór został zgładzonym.

Po tak wielkiem a dobroczynnem dziele, do którego spełnienia człowiek z ludu głównie się przyczynił, — lud odetchnął wolniej i w złotą księgę żywota narodowego zapisał przez wdzięczność święte imię ulubionego księcia, którego czcząc pamięć wzniósł mu później pomnik z ziemi rodzinnej, własnemi rękami usypał mogiłę!

Wielką i piękną jest postać Krakusa, która żyje w pamięci wieków potomnych, jako uosobiona, wielka jakaś zasługa, jako dobrodziejstwo jakieś nadzwyczajne, za które lud bez względu na to, iż stał się już niby chrześciańskim, — wykonywa obrzęd pogański jeszcze i w naszych czasach pod mogiłą Krakusa — tak zwaną rękawkę, by nieustawać w czczeniu pamięci ulubionego wodza, aczkolwiek tenże żyjąc jeszcze w czasach panującego w Polsce poganizmu i sam, był poganinem. Wszakże nie zważa na to wdzięczna ludność grodu Krakusa, bo czuje w swem łonie, że ten wódz — poganin, spełnił czyn, jakiegoby się niepowstydził żaden chrześcianin, spełnił czyn chrześciański przez poświęcenie się dla dobra ogółu — czyn miłości!

Komuby zaś koniecznie zależało na tem, aby upatrzyć w tym lub owym ustępie historyi bajecznej prorocze przeczucie przyszłości narodu, może i temu dogodzić z łatwością, jeżeli będzie w stanie siebie i drugich przekonać, że bajeczna historya jest czystą tylko poezyą, jest utworem samej tylko fantazyi, nieopierającej się zgoła na rzeczywistości zdarzeń. Z takiego przypuszczenia wypłynie już koniecznie ten wniosek, iż np. owo zgładzenie smoka wawelskiego przez Krakusa nie jest rzeczywistą jego zasługą, bo nie jest rzeczywiście dokonanym czynem gwoli powszechnego dobra, ale tylko przeczuciem ludowem w plastyczną postać ujętem, — przeczuciem czynów spełnić się mających przez naród w dalszym jego dziejów rozwoju. Spełnienie tego przeczucia dałoby się istotnie dostrzedz w całym ciągu dziejów naszych, jeżelibyśmy chcieli do potwornego smoka przyrównać ową dzicz tatarską i muzułmańską, owe hordy barbarzyńskie, z których paszczy buchała, że użyjemy wyrażenia się podania o smoku wawelskim, jadowita, trująca para, — wyziewy zabójcze, gdzie horda taka, jako potwór straszliwy niszczyła kraj, żywiła się jego dobytkiem, jego krwią i mieniem.

Do walki z tym rzeczywistym potworem występuje rycerstwo polskie, nito jeden dzielny wódz i obrońca narodu, nito ów Krakus w starożytności, który straszliwą żmiję zwycięża sztuką i zabija mieczem. Zachodzi tu tylko ta smutna różnica, że Krakus wzywa do rady i pomocy męża z ludu, wzywa szewca reprezentującego stan miejski, — a nasza szlachta, niestety zasklepiona w swych przywilejach! nie dopuszczała do posług krajowych młodszych swych braci, nie wzywa do rady i pomocy ludzi z ludu — ani mieszczan ani kmieci! Odradzał się też potwór i w różnych postaciach i z odświeżanemi zawsze siłami okazywał się na ziemi polskiej i ciągle musiano mu dawać świeży żer i ofiary na pastwę, gdy go do szczętu ubezwładnić lub zgładzić nie było sposobu. Bo stać się to mogło tylko przy pomocy ludu, przy współdziałaniu mieszczan i kmieci. Tak więc i proroctwo zawarte w legendzie o Krakusie nie spełniło się w zupełności, bo szlachta polska, która w zbiorowem znaczeniu jako wódz i książę stanęła później na czele narodu, nie działała ani w duchu Krakusa, ani w duchu podania o Piaście, którytо Piast nie był królem z królów, ani królem z szlachty, ale królem z kmieci.

Mało nam już zależyć może na tem, o ile podania bajeczne wieków ciemnych jakiegokolwiek narodu jednego, zgadzają się z podaniami innych narodów i czy są wspólne ludzkości całej lub nie? — bo choćby i były wspólnemi, — dla nas mają one zawsze także i odrębne znaczenie, jak odrębną jest cecha naszej narodowości i dziejów naszych. Jeżeli więc podania o smokach itd. znajdują się także u innych narodów, to nie można tego inaczej tłumaczyć, jeno że od wieków cały ród człowieczy ma wspólnego wroga, z którym musi walczyć i ofiar nieszczędzić, by go nareszcie pokonać i zgładzić.

Przed przyjęciem religii chrześciańskiej miał każdy naród wroga u siebie, w swem własnem sercu, w swym własnym domu. Tym wrogiem był ciemny, i ludzkość w obłędzie trzymający duch wiary pogańskiej, który nie dawał wyższego żywota, ale raczej śmierć. Toż i po przyjęciu nadanej nam przez Chrystusa religii — wróg ten nie opuszcza zupełnie progów naszych i o tyle przebywa wśród nas, o ile nie chcemy lub nie możemy pojmować chrześcianizmu w zupełnej jego czystości, gdyż o tyle mniej jasną być może dla nas zawarta w ewangelii prawda żywotna, i o tyle nie oczyściliśmy się zupełnie z dawnego poganizmu.

Gdyby zupełnie mógł być pokonanym u nas poganizm, musiałoby już przyjść i królestwo Boże na ziemię, w którymto razie duch chrześcianizmu czysty i niezamącony objawiałby się w każdym kroku i czynie, nie tylko w życiu prywatnem, ale i w życiu narodów powszechnem. Byłoby to życie pełne wzniosłych czynów i poświęcenia się, życie nowej ery, w której narody złożyć mają świadectwo swojej dojrzałości, swojego światła, rozumu męzkiego i wykształconego serca. W razie przeciwnym atoli, gdyby poganizm a tem samem i materyalizm wziął górę nad dojrzałością ducha wiary i miłości chrześciańskiej, musiałby nastąpić stan otrętwienia i bezwładności zgrzybiałemu wiekowi starców właściwy, co stanowiłoby tryumf śmierci nad życiem, — potwornego wroga ludzkości, czyli smoka w legendzie naszej przytoczonego — nad ideą braterskiej spółeczności narodów w Chrystusie i nad powszechnem dobrem z takiego właśnie braterstwa wypływającem.

Wiele złego nagromadziło się w ciągu wieków, a walka z niem niezakończyła się tak zupełnem zwycięztwem, jak walka Krakusa ze smokiem wawelskim!

I Krakus polski wciąż jeszcze walczyć musi z przeciwnościami, — a zupełne zwycięztwo jego nad duchem wstecznym, czyli nad smokiem — stanie się dopiero kiedyś, a może i w niedalekiej przyszłości prawdą, stanie się słowem w czyn zamienionem. Lecz Krakus nasz dzisiejszy nie trzyma się jednej tylko dzielnicy, — bo duch jego, jak ów dawny książę panuje nad narodem całym, żyje w narodzie całym, i cała Polska żyje duchem narodowości swojej nietylko w grodzie Krakusa, ale i w innych grodach, bo cały naród jednomyślnie pragnąć powinien, aby zbawienie ludzkości stało się powszechnem. Owóż gdy podania o smokach są wspólne całej ludzkości, gdy ten symbol złego widocznie i dziś jeszcze nie jest zupełnie nawet przez te narody pokonanym, które zowią się chrześciańskiemi, to i nie nam samym tylko, ale w połączeniu z innemi narodami z wszelkim złym duchem walczyć potrzeba. Już idzie książę tego świata, z goryczą rzekł Chrystus, gdy przewidywał zgon swój bliski, a wszakże ów książę nie miał to być anioł w bieli, ale czarny i w ciemnicach panujący duch, smok potworny, którego tylko w Chrystusie i przez Chrystusa pokonać mogą narody, ale nie pokona go dzisiaj, jak niegdyś Krakus, żaden książę pogański. Wszakże pokonają go ostatecznie książęta chrześciańscy wspólnie z ludami.

Toż i podobnie jak Krakus, książę pogański, zwyciężając smoka, czyn chrześciański wypełnia, tak mogli go wskrzesić i do życia przywołać w późniejszych wiekach, dokonywując czynów niechrześciańskich, a więc czynami sprzeciwiającemi się duchowi pisma świętego, panowie i książęta pogańskiego ducha, chociaż osłonięci szatą chrześciańską, nosząc na piersiach znak, ale tylko znak zewnętrzny krzyża świętego. Brakiem ducha chrześciańskiego grzeszono najwięcej w wiekach średnich, grzeszyli królowie i poddani, panowie i książęta, możni i bezsilni, bogaci i ubodzy. Toż i my uderzywszy się w piersi, dawnych grzechów zapierać się nie mamy potrzeby, gdyż grzeszyli i nasi wielmożni i jaśnie wielmożni panowie, grzeszyli choć może mniej niż inni, brakiem ducha chrześciańskiego, brakiem dostatecznego ciepła i światła religijnego.

Prawda, że w wiekach poganizmu brakowało tych warunków tem bardziej jeszcze; ale gdy naród już raz stanął na drodze postępu i cywilizacyi chrześciańskiej, wypadało mu ideę chrześciańską rozwijać w życiu coraz bardziej — a nie grzeszyć przeciw jej zasadom, nie wstępować na drogę wsteczną, i duchowi chrześcianizmu przeciwną. Ależ nie ma tam kary, gdzie nie ma grzechu, i nie ma tam czyśćca, gdzie przeszłość narodu jest zupełnie czystą. Tylko czyste i święte pamiątki zachowuje naród w czci i uszanowaniu, i świętą mu jest pamięć tych wszystkich książąt, księżniczek, lub obywateli jakiegobądź stanu, co się kiedykolwiek poświęcali dla dobra jego, co mu nieśli nawet swe życie w ofierze, a usługami swemi do osiągnienia przyszłej wielkości, do zbudowania Polski potężnej pomagali. Wdzięczna potomność wyszukuje nawet postacie ukryte w ciemnych grobach zamierzchłej przeszłości. Postacie te kryją się tem bardziej, im więcej zapuszczamy się w epokę historyi bajecznej — bo czcią otaczać chcemy i ciemne postacie czasów pogańskich. I oto okazuje się nam poetyczna Wandy postać! Podziwiamy i czcimy jej bohaterstwo, iż, niechcąc zostać żoną cudzoziemskiego książęcia, wolała śmierć ponieść nienaturalną i życie swe młode zatopić w nurtach Wisły, niż sercu swojemu gwałt zadawać. A wszakże na wyższą cześć i wdzięczność narodu zasługuje Jadwiga, pełna cnót chrześciańskich, młoda i piękna dziewica, która najcięższą z serca ofiarę niesie narodowi swojemu, gdy temuż sercu rozkazuje milczeć poskramiając miłość wieku młodzieńczego, miłość namiętną i gorącą — dla względów wyższych dobra powszechnego. Nie odbiera sobie życia jak poprzedniczka jej Wanda, ale prosi Boga o pomoc, by jej żyć pozwolił dla dopełnienia wielkiego dzieła, by służyć mogła życiem swojem Bogu, ludzkości i narodowi. Przeraża ją myśl sama, iż zostać ma żoną Jagiełły, który był barbarzyńcą i poganinem, iż ma zerwać najmilszy związek, jaki ją łączył z rakuskim książęciem; ale nie rzuca się do Wisły, bo sił jej dodaje myśl wyższa, chrześciańska, iż taką ofiarą zniewoli Jagiełłę i lud litewski do przyjęcia chrztu i nauki chrześciańskiej. — Zaprawdę, im bardziej rozjaśniać się poczyna horyzont historyi naszej bajecznej, tem dalszy i piękniejszy odsłania się narodowi naszemu widok. Atoli z chaosu i zamętu na czyste i jasne pole wychodzą Polacy dopiero po ukazaniu się aniołów na postrzyżynach u Piasta kołodzieja. Sam Bóg przez aniołów swoich wprowadził ród Piastów na tron, — sam Bóg przez aniołów swoich przeznaczył Ziemowita syna Piastowego w kolebce już, by rządził narodem polskim. Z Boga więc wypłynęło panowanie Piastów nad nami i z Piastów spłynęło na krainę naszą błogosławieństwo Boże, gdy przez ród Piastów podniosło się religijne światło w narodzie, światło objawionej przez Chrystusa religii. — Wdzięczność należy się przodkom naszym, którzy ochoczo służyli sprawie narodu, którzy piersiami swemi zasłaniali ojczyznę, by naród nie był zmuszonym zrzec się swojej indywidualności; ale na większą jeszcze wdzięczność zasługują owi pierwsi apostołowie, co nam z niebios znieśli światło chrześciańskiej wiary. Było ich dwóch podobno. Dwie opromienione światłością nadziemską postacie musiały ogromny wpływ wywierać w narodzie, skoro cześć dla nich była tak wysoką, że im przyprawiono i skrzydła anielskie, że uznano w nich aniołów bożych. Dwaj aniołowie zjawiają się pod strze-

chą kołodzieja i kmiecia polskiego, i cudem bożym z pod tej strzechy wychodzi ród królów i książąt wyjątkowych się chlubnie z najcięższych obowiązków swoich. Piast kołodziej zostaje królem i otwiera pierwszą epokę dziejową, staje się kamieniem węgielnym przyszłej wielkości narodu polskiego.

Dwaj aniołowie dźwignęli Piasta na ramionach swoich, i na tych samych ramionach wzniósł się i oparł tron Piastów, tron królów polskich! Dwaj aniołowie podnoszą kmiecia polskiego, by przyszła wielkość narodu mogła się oprzeć na ludu kmiecym. A byłto ten sam lud, który później chwycił za oręż i stał się ludem rycerskim. Chwałą okryło się imię jego, bo dwaj aniołowie nie spuszczali go z oka, bo jak czuwali nad kolebką jego, nad kolebką Ziemowita syna Piastowego, tak czuwali i w dalszym ciągu wieków nad losem tego rodu kmieci, rodu kołodziejów, rolników!

Wielcy to musieli być ci aniołowie, skoro raz ukazawszy się między kmieciami, którzy w łonie swem nosili zarodek przyszłej wielkości narodu polskiego, niezatarty ślad zostawili po sobie, ślad w pamięci i w sercach narodu, który nie zaginie nigdy, jak długo naród żyć będzie. Oni to tchnęli ducha swojego w ten ród kmiecy, który właśnie w tym a nie w innym duchu stał się ludem rycerskim, któryto lud powstał z poganizmu i został ochrzczony w duchu dwóch aniołów, dwóch synów bożych w Chrystusie. Inaczej dwaj aniołowie nie mogliby się byli losem przodków naszych tak szczerze zajmować, bo anioł czysty i jasny nie ma tam głosu i wpływu, gdzie przewodzi duch poganizmu, duch ciemny i zły. Gdzie już aniołowie opiekują się narodem, tam i naród musi stać się godnym takiej opieki, musi anioła w dom swój wpuścić, musi go powitać i uczcić jako drogiego mu gościa. Wszakże ten dom nie może być domem z gliny, ani z cegieł, ale musi to być dom duchowy, dom serca, wiary, miłości! Taki dom niezawodnie i nasi dwaj aniołowie znaleźli niegdyś wśród kmieci, kołodziejów, rolników naszych. Nie przybyli oni bez celu w ludzkich postaciach na postrzyżyny do Piasta. A nie masz wyższego i odpowiedniejszego zajęcia dla aniołów bożych na ziemi, nad opowiadanie słowa bożego. Dwaj aniołowie nie przyszli do Polski w tym tylko celu, aby Piasta na tron wprowadzić, bo ich królestwo, jako aniołów, nie mogło być z tego świata. Gdzie aniołowie objawiają się ludziom, tam już przychodzi i królestwo ducha — ale nie ducha ciemności, poganizmu, bałwochwalstwa! Jest to królestwo ducha Syna Bożego, królestwo Boże! Polska wszelako otrzymuje korzyści nie tylko duchowe ale i świeckie, bo los jej zaczyna ustalać się od tej chwili właśnie, odkąd kmieć polski przyjmuje aniołów w dom swój. Anioł Boży jest oraz i duchem Syna Bożego, który niewidomie przemawia do nas i udziela się nam przez ewangelią. Uwierzyć w ewangelią znaczy to samo, co przyjąć ducha Syna Bożego do serca.

Ciemny i bajeczny jest początek narodu polskiego, bo snać niczem się nie odznaczał i niczem nie był przed pojawieniem się aniołów na ziemi polskiej. Lecz gdy wstąpił anioł boży w serca nasze, zostaliśmy tem samem już chrześcianami. Nowe życie i nową erę rozpoczynamy wraz z przyjęciem religii chrześciańskiej. Występujemy coraz widoczniej i coraz wspanialej na widowni dziejów świata, bo dwaj aniołowie nami się opiekują, bo duch ich boży znajduje w nas swą cząstkę, swój żywioł. Jego natchnieniu posłuszni łączymy się w bratnią społeczność. Mężowie rycerscy, poświęcający się dla dobra ogółu, nie z przymusu, ale z własnej dobrej woli: to szlachta polska, to starsi bracia narodu!

Wielką mieli oni przyszłość przed sobą; ale upadło wszystko, gdy dwaj aniołowie nie znaleźli dostatecznego żywiołu dla siebie w duchu narodowym, który nie był dość chrześciańskim, gdy w ciągu wieków naród polski zapomniał, zkąd się wzięła jego potęga, gdy zapomniał, że takową dźwigać powinien duch aniołów bożych i ród kmiecy!

Religia z narodowością polską, jak widzimy, w najściślejszym zostaje związku. Z Bogiem rozpoczyna naród nasz swe życie polityczne, bo do świątyni tego życia wprowadzają go dwaj aniołowie! Oni wskazują mu drogę żywota, bo byli to słowiańscy apostołowie, jak dowodzą historycy nasi. Mieli to być dwaj uczniowie Metodyusza, z których jeden miał zwać się Wiznog a drugi Osław. Tak twierdzi Lelewel, na którego zdaniu możemy polegać. Lecz mniejsza tam o nazwiska, naród przeczuł w nich aniołów bożych i zaprawdę nie omylił się, bo w tych ludzkich postaciach przebywał rzeczywiście duch święty. Posłowie niebios wywiązali się godnie z poselstwa swojego w krainie naszej. Musimy zresztą uwierzyć, że jakieś apostolstwo u nas być musiało, bo skoro faktem jest, że słowo Boże przyjęło się i rozkrzewiło w narodzie naszym, to i prawdą być musi, że ziarno jego było zasiewane.

Jeżeli zaś chrześcianizm przyczynił się głównie do wielkości i potęgi narodu polskiego, to niezawodnie dla tego, że w nim spoczywają wszelkie warunki, które naród podnosić i w jednolitą całość sprzęgać są w stanie. Taki tylko naród może zwać się ściśle jednolitym, którego żywioły połączone są z sobą nietylko pokrewieństwem rodu, ale przedewszystkiem i religią wspólną. Prędzej przystaną do siebie żywioły pokrewne, które ożywia jeden, wspólny duch miłości i wiary chrześciańskiej, niż żywioły różnorodne, których zasady religijne mniej są wzniosłe i czyste. Jest więc rzeczą niewątpliwą, że pierwsza epoka dziejów narodu polskiego: jest epoką wzrastania stopniowego do coraz wyższej potęgi na drodze ducha, oczyszczającego się z grubego materyalizmu i poganizmu przez chrześcianizm.

M. Dłużniewski.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Nuncyusz papiezki, kardynał Rangoni, w skutek coraz częstszych doniesień, listów i protekcyj pisanych do niego od panów polskich za Dymitrem, nabierał coraz więcej ciekawości poznania tej niezwykłej osoby, oraz był coraz pewniejszym, że Dymitra zeznania są w rzeczy samej prawdziwe. Dla tego „otacza go Jezuitami, i śledzić każe wszystkie kroki jego“. Jezuici wykrywają rzecz ważną; a mianowicie: „że Dymitr miał już tajemne porozumienia w Moskwie, że nawet niektórzy z narodu tego, już się do prawego monarchy gromadzić zaczęli, że nakoniec wojewoda Mniszech już nie jak gościa, lecz jak monarchę w domu swoim go podejmuje.“ Wtedy już Rangoni widział konieczną potrzebę zapoznania króla z Dymitrem, i zawarcia niejako przymierza między niemi. Namawia Mniszcha i Dymitra aby się udali do Krakowa i „starali się o posłuchanie u króla.“

Niemcewicz w dziele p. t.: „Dzieje panowania Zygmunta IIIgo“, z którego to dzieła wiele do naszej rozprawki zaczerpnęliśmy pomocy, przytacza słowa *Cillego*, włocha, ówczesnego sekretarza królewskiego, opisujące dokładnie, jako naoczny świadek pobytu Mniszcha z Dymitrem w Krakowie, i posłuchania ostatniego u króla. Przytoczymy tu ten opis naocznego świadka: „Przybywają obydwa z wspaniałem dworem; wprzód jednak nim dzień był wyznaczonym do audyencyi, odwiedził nuncyusz carewicza. Byłem ja temu przytomny, mówi Cilli, monsignor nuncyusz ściskając i głaszcząc Dymitra, rozmawiając długo o sprawach moskiewskich, to najczęściej powtarzał mu, że jeżeli chce być od j. k. mości w sprawiedliwych swoich pretensyach wspieranym, koniecznie należało, aby (jako to już listownie przyrzekł), wyrzekł się greckiej religii i przyjął prawdziwą wiarę katolicką, poddał się pod obronę i opiekę świętej stolicy apostolskiej rzymskiej. Wszystko to carewicz przyrzekł, i przyrzeczenie następującej niedzieli w domu jmci księdza nuncyusza w przytomności wielu znakomitych osób, z wszelkiemi uroczystościami powtórzył, i własnym stwierdził podpisem. Nastąpił wspaniały obiad, po którym nuncyusz zawiózł carewicza do króla na zamek.

Gdy Dymitr wszedł do komnaty królewskiej, król Jmść stał z zwykłą swoją powagą oparty o stolik, i z łagodnym uśmiechem wyciągnął mu rękę do pocałowania: co uczyniwszy carewicz pokrótce przedłożył mu żałosną krzywdę swoją, i wsparcia i pomocy prosił. Gdy skończył, dał mu podkomorzy koronny znak, by wyszedł do innego pokoju, gdzie wojewoda sandomierski i my wszyscy czekaliśmy na niego; został się tylko z królem nuncyusz, z którym jego k. mość naradziwszy się, jaką miał Dymitrowi dać odpowiedź, znów go przywołać rozkazał. Powrócił carewicz, i z wielkiem uszanowaniem i pokorą, kładąc ręce na piersi, więcej wzdychaniem niż słowy polecał się królowi; natenczas król jmść z wesołą twarzą, podniósłszy nieco kapelusz, te słowa wyrzekł: „Niechaj was Bóg zbawi Dymitrze, książe moskiewskie; a że z tego, cośmy od was słyszeli, i z okazywanych nam pism, uznajemy was za takiego, z uprzejmości naszej wyznaczamy wam na potrzeby wasze 40,000 złotych (co dzisiaj znaczy 360,000 złotych polskich) na rok, nadto jak przyjacielowi i będącemu pod naszą protekcyą, pozwalamy wam traktować z pany naszemi, i odbierać od nich tę pomoc i rady, które wam dogodnemi udadzą się.“

Ta mowa tak żywą radością i poruszeniem przejęła duszę Dymitra, iż gdy słowa wyrzec nie mógł, nuncyusz dziękował za niego, poczem skłoniwszy się nisko, powrócił do domu wojewody sandomirskiego. Tam nuncyusz znów go całując i ściskając, upominał, aby corychlej przyspieszał wyjazd swój, i przywiódł do skutku zamierzone dzieło; nadewszystko zaś, aby za wyświadczone sobie łaski wywdzięczył się przyjęciem corychlej św. wiary katolickiej, rozkrzewieniem i jej i Jezuitów, nie tylko po całem państwie swojem, lecz jak tylko będzie mógł najdalej.

IX.

Że przyjęcie Dymitra u króla tak uprzejme i takim pomyślnym uwieńczone sukcesem, Jezuitów było maszyneryą, o tem nikt wątpić nie może, ale że też ta wiara z jaką Zygmunt III nad dolą niewinnie cierpiącego carewicza ubolewał, że ta wiara z jaką go o swej życzliwości i opiece upewniał, pochodziła z serca, i to serca natchnionego przekonaniem o rzeczywistości i prawdzie zeznań Dymitra, tego także nikt zaprzeczać nie będzie. Bo też i w ogóle wszystkie stopnie losu, że tak powiem, po których Dymitr piął się do swego tronu, wyraźnie dowodzą, że nad nim niezawodnie opatrzność boża czuwała. Rodziny tak znakomite jak Wiśniowieckich, Mniszchów, później Sapiehów, nie mogłyby przecie do tego stopnia uledz zaślepieniu, aby bez gruntownego i sumiennego przekonania ujmować się za nieznajomym człowiekiem, polecać go królowi, i krew braci swoich dla niego poświęcać. We wszystkiem tem widzimy tylko tę prawdę, że niewinność prześladowana prędzej czy później znajdzie swoich obrońców, że choćby po najdotkliwszych próbach i uciemiężeniach sprawiedliwość jej wymierzoną zostaje, bo kierujący tym wielkim kołowrotem świata i ludzi, wystawiając niekiedy z swej woli wyższe i milsze sobie dusze na niedolę i prześladowania, nie zostawi ich przecie bez zwycięstwa, bez nagrody.

Zygmunt III zajął się mocno sprawą Dymitra, losów jego powodzenie biorąc do serca swego. Przekonany nadto o błogich z jego *carowania* dla Polski skutkach, gdy całemu polskiemu narodowi rządy Borysa i jego nie ludzkie sąsiedztwo było nie na rękę, tem więcej pragnął widzieć jak najprędzej Dymitra na tronie, i dla tego przyrzekł mu nawet wojskową pomoc. Taką wiarą przejęty doniósł Zygmunt III wielce poważanemu w kraju mężowi, który jednakże teraz dla różnych osobistych przyczyn, a mianowicie niechęci ku Jezuitom, usunął się od dworu królewskiego, tj. Janowi Zamojskiemu hetmanowi w. k. o swoich co do Dymitra zamiarach. „Wielkie, pisze Zygmunt, upatruję z okoliczności tej dla królestwa polskiego pożytki; ze strony Turków dzielnego w Moskwie mielibyśmy pomocnika, Inflanty mogłyby być uciszone, odwetowana Szwecya, bo też zaciągi, co Dymitra zawiodą, napowrót uspokoić będą mogły Inflanty i Finlandyą itd.“

Zamojski, a za nim Żółkiewski i inni znakomici panowie, nie byli wcale tego, co Zygmunt III zdania, a Zamojski radził przedewszystkiem królowi, który mu także w swym liście nadmienił, iż rzecz tę należy w największym trzymać sekrecie między nim a arcybiskupem gnieznieńskim Tarnowskim, aby nie przedsiębrał tak ważnej sprawy bez sejmu. Widzimy z tego, że Zamojskiemu więcej daleko dobro publiczne leżało na sercu, niż królowi, widzimy też, iż Zamojski w stosunku swym do króla nie występuje już tak gorąco jak wprzódy: „Bolały go mniejsze względy u dworu, a dzielniejsze innych faworytów u króla rady i pomoce.“ Z boleścią też przyglądał się nowej organizacyi Rzeczypospolitej, którą on tak dzielnie i tak długo krwią własną był organizował. Gdy tedy królowi na list jego, w ten sposób odpisał, uczuł król słuszność uwag jego i wtedy umywszy ręce „uchylił się sam od powierzchowności“ od pozorów przynajmniej. My zaś uznając słuszność sprawy Dymitra, nie możemy zaprzeczyć także słuszności rady Zamojskiego. Przedewszystkiem bowiem, do serca Polaka, winna mieć prawo ojczyzna. A gdy ta ojczyzna wewnątrz wiela potrzeb wymaga, gdy rokoszanie, jak gangrena zdrowie jej psuć zaczynają, — komuż tam myśleć o wywalczeniu cudzych tronów (choćby najsprawiedliwszych) kiedy każda kropla krwi po za granicą ojczyzny wylana, zmarnowaną i niewdzięczną zwać-by się powinna? I dla tego rozprawkę naszę rozpoczęliśmy wyrażeniem; iż bardzo bolesna to epoka w dziejach naszych, w której Maryna do sławy swojej doszła. Czuł to Zamojski, czuli i inni prawi obywatele. — O zupełny brak uczucia nie możem także posądzać i tych, którzy się jawnie za Dymitrem ujęli — lecz, posądzić ich niestety musimy, że na chwilę, w której świetna przyszłość zbyt jaskrawo rozśmiała się ich dumie, zapalili

się jej blaskiem, ulegli osobistej miłości i prywacie, zamiast coby krajowi krew swoję mieli nieść w usłudze. Do tych należy najpierwszy Jerzy Mniszech, wojewoda sandomirski, ojciec Maryny. Zygmunt III nie prowadząc już niby sprawy tej otwarcie przez siebie, dozwolił Mniszchowi na swą rękę zaciągać chorągwię i każdemu tego pozwoleństwa udzielał, ktoby chciał.

Jerzy Mniszech zaczął więc pode Lwowem zaciągać ludzi pod swoję chorągiew. I zebrał ich do 700. Toż czynił i syn jego starosta sanocki, toż JMCPan Dworzycki, Fredro i Nieborski. Ci tedy byli pierwszymi poplecznikami carewicza; ich chorągwie wraz z niezlicznym oddziałem samego, jak go zwie Maskiewicz, carzyka, wprowadziły Dymitra do Rosyi. Tam zaś w imieniu Dymitra zbierało mu stronników i wojsko dwóch Polaków, którzy przed wojenną wyprawą jego, przygotowywali miasta i lud do przyjęcia swego przyszłego cara. Tymi byli Ratomski i Świrski. Ratomski czynił „tajemne praktyki w Starodubiu i Czernichowie, Świrski zaś Szczęsny namawiał kozaków dońskich do złączenia się z wojskiem Dymitrowem. Więc przy końcu roku 1604 rozpoczęto wyprawę. Wyprawie tej więcej, rzekłbym opatrzność i wiara w słuszność sprawy, niżeli siła i oręż, zapewniały zwycięstwo. Dymitr bowiem w towarzystwie wojewody i księcia Konstantego Wiśniowieckiego niemiał więcej, jak 2000 ludzi, a przecież i tak szczęśliwie przeszedł Dniepr i podsunął się pod Kijów. W Kijowie pomnożył cokolwiek wojska, bo na głos o przybyciu prawdziwego cara, zbiegali się różni i motłoch i kozacy. Prawie bez oporu poddały się mu zaraz wszystkie pograniczne miasteczka, a Dymitr wstęp taki uważając za znak pomyślny, postępował z coraz większą otuchą w głąb swej ojczyzny. Porażony nieco pod Nowogródkiem zdobywa zwycięzko Putywl i Bielsk, dwa najznaczniejsze miasta w Siewierszczyznie. Do zdobycia Putywla, w którym zamknął się był Dymitr z Mniszchem, ścigany przez Szujskiego (Iwana Wasilewicza) dopomogli najwięcej książęta Wiśniowiecki i Różański, przybyli im na odsiecz. Coraz lepiej wiedzie się Dymitrowi. W wojsku Borysa zaraza — lekarzy nie ma na miejscu, przysłane lekarstwa nieumiejętnie chorym podawane zabijają i tych, którychby może natura była wyratowała. „Tymczasem płomień buntu nie tylko po prowincyi, lecz już i w samej stolicy szerzyć się zaczął.“ Część narodu, zdawien dawna przywiązana do Ruryków z radością przystaje do tego, który się ich szczepu ostatnią gałązką ogłasza; drudzy nieradzi Borysowi, skłaniają się chętnie do Dymitra; lud dla tego zaś burzyć się począł, że nowość i zmiana rządu robiły mu nadzieję lepszego losu i powodzenia. „Z tego też powodu Borys widząc, iż niebezpieczeństwo bardziej, aniżeli się mu zdawało, zagraża, zwołuje 60.000 wojska z prowincyi i wyseła je naprzeciw Dymitra, w miesiącu kwietniu 1605 roku. *). Wysłał także posła do króla polskiego Zygmunta z wyrzutem nadwyrężenia pokoju na lat 20 zawartego, przez popieranie sprawy Dymitra i jego wtargnięcia do Rosyi z wojskiem polskiem; lecz otrzymał na to odpowiedź, że się to bez wiedzy króla i rzeczypospolitej dzieje, i że bunty poczynione przez Dymitra Moskwicina, od Moskali wspomaganego, wcale warunków pokoju nie nadwyrężają. Odebrawszy taką odpowiedź Borys, uzbraja się na Dymitra, pewny będąc pokonania jego nielicznego wojska, ani nie wyćwiczonego w taktyce wojennej, ani nie pewnego żołdu, ni też czyjejś opieki.“ Lecz zamiarów tych do skutku doprowadzić już nie może. Dowiedziawszy się bowiem o coraz większem powodzeniu Dymitra, z rozpaczy i żalu trucizną sam sobie życie odbiera *); a żona jego nie widząc także żadnej nadziei dla siebie, synowi i córce swojej podaje truciznę, sama też wraz z niemi jej zażywając **).

*) Piasecki.

Tym sposobem od najzaciętszego nieprzyjaciela swego uwolniony Dymitr, mógł z wielką łatwością do reszty plan swój do skutku doprowadzić. I tak też się stało. Dnia 20 czerwca 1605 wszedł bez krwi rozlewu i bez żadnego oporu do Moskwy i w tej stolicy swego państwa od wszystkiego ludu carem ogłoszonym został. Sprzeciwiało się mu wprawdzie kilku, ale ci nigdy nie byli jego przyjaciołmi; mianowicie zaś między niemi byli Szujscy, zawsze Ruryków nienawidzący. Jednakże wstęp Dymitra do Moskwy był prawdziwie uroczysty. „Tłumy najznaczniejszych bojarów otoczyły go wokoło; przodem i w tyle szły wojska moskiewskie i polskie. Spotkało go na wielkim rynku duchowieństwo, niosąc w rękach swych krzyże i świętych obrazy. Tam zsiadł z konia i piechotą udał się do większej cerkwi, dla złożenia Bogu dzięków za wstąpienie swe na tron„ ***).

W piętnaście dni po swem przybyciu do Moskwy, z rąk nowo obranego metropolity, odebrał Dymitr carską mitrę, i dopełnił ostatniego zatwierdzenia się na tronie przez koronacyą.

X.

Jeżeli jeszcze historyczne dowody i wszystkie sprawy Opatrzności nad Dymitrem, tych o jego prawdziwem pochodzeniu nie przekonały dokładnie, którzy go zwą Samozwańcem, to zapewne przekona ich nareszcie wzruszająca do głębi serca scena matki z ocalonym synem, która się zaraz po przybyciu Dymitra do Moskwy, tamże odbyła. Wdowa bowiem po Iwanie Wasilewiczu była dotąd przy życiu, i nad brzegami Białego jeziora bolesnych chwil swego żywota w monasterze doliczała. Dymitr wysela natychmiast po nię; i w towarzystwie panów moskiewskich wychodzi za miasto na jej powitanie. I możeż jeszcze kto powątpiewać o Dymitrze, jeżeli oto własna jego matka tuli go we łzach do swojego łona. — Czyjeż serce lepszem może być źródłem największej prawdy, ażali nie matki, która i po 50 latach zdolną jest własne dziecię rozpoznać? I oto Dymitr ukłęka przed nią: tłum otaczający z rozrzewnieniem przysłuchuje się ich rozmowie, a rozmowy tej treścią są tylko dwa najdroższe im słowa: Matko moja! Synu mój! — I to jest najważniejsze źródło i dla historyka i dla psychologa. To też gdy następnie udał się Dymitr, idący dla uszanowania matki, piechotą, obok jej karety, do Moskwy, gdy tam matka w obec licznie zgromadzonych dworzan i innego ludu, uznała go za swego syna — uwierzyli weń wszyscy, uwierzyli i ci, którzy dotąd szeptali o jego fałszywości. Pięknemi czyny rozpoczął panowanie swoje Dymitr. Pamiętny dobrodziejstw od króla Polski i od Polaków dożnanych, wywdzięczyć się im pragnie. Pisze „list do Karola Sudermanii, aby przywłaszczoną (Zygmuntowi III wydartę) koronę złożył, poprzestał przeciw panu swemu buntów i do powinności wrócił się; inaczej groził mu, że na wsparcie sprawy królewskiej silnych środków użyje.“ Listem tym zrobił sobie z Karola nieprzyjaciela, który mu odtąd szkodził. Tak więc idąc za głosem własnego sumienia, samemu sobie zagrażał niebezpieczeństwem. Lecz i w samej Moskwie wrodzoną dobrocią, łagodnością charakteru swego, i obyczajami, dobrem w Polsce wychowaniem nabytemi, jako też przychylnością do Polaków i Jezuitów, robił sobie bardzo wielu nieprzyjaciół. A lubo po-

*) Maskiewicz. **) Piasecki. ***) Niemcewicz.

stępował z niemi łagodnie, nie mógł uniknąć ciosu ich nienawiści. Tę łagodność charakteru, sami nieprzyjaciele jego mu przyznają.

Z Szujskiemi, o których wiedział, że na jego życie czychają obchodzi się prawdziwie po przyjacielsku; dowiaduje się jednak wkrótce, iż jeden z nich stanął na czele okropnego spisku na jego życie; przywołuje go Dymitr przed siebie i ludowi pod sąd oddaje. Lud skazuje go na śmierć: „Dymitr wtedy namawia matkę, by się za winowajcą wstawiła. Jedno jej słowo, wraca Szujskiemu życie. Po krótkiem więzieniu zostaje przywrócony do łaski i do wsystkich urzędów i dostojeństw. Dymitr sądził, iż tą łaskawością z miękczy zbrodniarza i pozyska jego serce — jako się omylił, ujrzymy.“ Ustaliwszy się na tronie i przygotowawszy we wszystkiem, wysełą nareszcie Dymitr posła do Jerzego Mniszcha, po jego córkę Marynę. Tęskiący za nią prawdziwie, bo serdecznie ją kochający, oczekuje z wielką niecierpliwością jej przybycia, oddając się tymczasem sprawom swego kraju, wszystkie z godnością i szlachetnością załatwiając. Naród cały pokochał go wkrótce — i gdyby nie zawziętość ukrytej partyi, Dymitr byłby może najszczęśliwszym ze wszystkich.

XI.

Gdy poseł Dymitra stanął już w Krakowie, gdzie Mniszchowie naówczas przebywali, naradzono się wtym domu stanowczo, a do rady wiele bardzo wpływał, krewny Mniszchów, kardynał i biskup krakowski Bernat Maciejowski, ażeby wydać Marynę za cara, o którego charakterze i szlachętności wszyscy jak najdokładniej byli przekonani. Że krokiem tym powodowała także i duma i chęć wyniesienia się nie zbyt zacna i naśladowania nie godna, to pewna, pewną także i to jest rzeczą, że Maryna co do swej osoby nie tyle dumą, co uczuciem do tego czynu się skłoniła. Zresztą ojcu posłuszna, gdy uczucie jej nie sprzeciwiało się temu, chętnie przystała na ostateczny wynik rady familijnej. Głośną wnet stała się po całem mieście nowina, że Mniszchowna oddała rękę carowi. A jaką musiała być wtedy wiara w Dymitra w Polsce, wnosić możem ztąd, iż wszyscy z największą radością i uniesieniem tę nowinę po Polsce rozsiewali. Ksiądz Stanisław Grochowski, współczesny owym sprawom, poeta, z nieumiarkowanym prawie zapałem głosi światu nadzwyczajne szczęście zawarcia ślubu Dymitra cara z Maryną Mniszchówną. Pisze on: *Pieśni na fest ucieszny wielkim dwiema narodom, polskiemu i moskiewskiemu, przemożnego monarchy Dymitra etc. etc. i Najjaśniejszej Jej carskiej m. z Wielkich Kończyc Mniszkówny wojewodzianki sandomierskiej.* W tych pieśniach (wydanych w Bibliotece Polskiej K. J. Turowskiego) których jest aże 23, a oprócz tego 9 dodatkowych, w ogromnem uniesieniu szczęścia i radości poeta przemawia to do Dymitra, to do Maryny, to do rodziny Mniszchów, Wiśniowieckich, to do Bernata Maciejowskiego — a przemawia z uczuciem i natchnieniem, z zapałem i pewną nawet egzaltacyą. Przemawia zaś zawsze z jednej i tej samej okazyi, tj. z okazyi ślubu Dymitra z Maryną. Oto na przykład przytaczam tu pieśń dziewiątą:

Io tryumfie! prześwietna carowa,
O której teraz między ludźmi mowa
Po wszystkim świecie, od której dziś twarzy
Wdzięczność się żarzy.

Io tryumfie! szczęśliwa Mniszkówno,
Wyniosłaś dom swój z obłokami równo;
Wielka Maryno między słowiańskiemi
Córy znacznemi. itd.

Albo jak się do Bernata Maciejowskiego odzywa. (Pieśń X.):

Bądź wesół i ty w kardynalskim stanie,
Cny Maciejowski, pierwszy w Polsce Panie,
I kwoli twej krwi, tudzież ojczystemu
Dobru wspólnemu.

Wielka to radość: idzie krewna twoja
Do wspaniałego carskiego pokoja itd.

Malując zaś niby obraz Maryny, czyli pisząc wiersze na jej konterfekt, tak się poeta o niej wyraża:

Taki kształt był, taka twarz Mniszchówny Maryny,
Gdy za swego cara szła w moskiewskie krainy.
Nabożeństwa, wielkich cnót, wstydu wrodzonego
Wyrazić nie mógł malarz sztuką dzieła swego.
Jedną taką z tysiąca szczęście gdy ujrzało,
Zdumiawszy się, carową wielką mieć ją chciało.

Są tu w tych pieśniach i wiersze na herb Dymitra, (orzeł ten o dwu głowach ukoronowany), Mniszchów, są ody na zwycięztwa Dymitra — a wszystko drga zapałem i uniesieniem, do jakich tylko prawdziwa radość, prawdziwe uczucie szczęścia natchnąć mogło poetę. Jeżeli Stanisław Grochowski czuł tak gorąco ważność ślubu Maryny z Dymitrem, jeżeli i Kasper Miaskowski, wyższy talentem poeta od Grochowskiego, tę okoliczność swym wierszem poczcił, musiał przeto i cały naród z równem uczuciem przyjąć tę wiadomość, i niewinił zapewne ani Mniszcha, ani jego córki o wejście w stosunki z Dymitrem. My ich nie obwiniamy; lecz uwaga na ogół, na ojczyznę podsuwa tu nam myśl znowu o tej samej *prywacie*, o której już parę razy wspomnieliśmy wyżej.

Zaślubiny Maryny odbyły się przez trzecią osobę, tj. przez posła Ofanazego Bezobrazowa, w Krakowie. Opis tego obrządku, przez naocznego świadka, zawarty w nocie do dziejów Zygmunta III Niemcewicza, jako zawierający w sobie wiele ciekawych szczegółów przytaczamy tu w całości: (str. 286 nota III).

(D. c. n.).

WYIMEK
Z HYMNU DO BOGARODZICY
Seweryna Goszczyńskiego.

Nie przystrojony kapłańskim ornatem,
Nie w twych urzędów przepychu i pysze,
Stoję o Pani! przed twym majestatem;
Ni kadzielnicą złotą ci kołyszę;

Niemam brylantów, ni pereł, ni złota,
Na dyademy, na szaty, na wota;
Nie chcę cię ocmić woniami kadzideł,
Nie chcę cię olśnić błyskami świecideł;
Nie! ja upadam przed stopami twemi,
Jak najuboższy między ubogiemi,
Bo oto nawet ta przestrzeń tej ziemi,
Zkąd pieśń tę wznoszę, nie jest mi ojczystą,
Bo oto nawet to niegodne ciało,
Które ci rzucam pod stopę przeczystą,
Ono mi jeszcze nieraz się opiera;
Lecz mam, co mogę złożyć Tobie śmiało:
Mam miłość moją; wierna ona, szczera,
A moja własna, właśniejsza jak dusza,
I rządy moje nad nią samowładne,
Bo wyszła ze mną, jak ja, z Stwórcy łona,
Ona tam gdzie ja, a ja tam, gdzie ona,
A nikt mię do niej nie pędzi, nie zmusza:
Taką ci miłość na wiek wieków kładnę,
W niej ducha mego i mą duszę biedną,
Ona, a moja miłość to jest jedno.

W Paryżu.

KONKURY Z NUDÓW.

(Szkic z życia).

(Ciąg dalszy).

Pan Podsędek Cygański.

O któż z was nie zna, a raczej któż z was zna małe miasteczka! te miejsca wygnania dla ludzi, co przyzwyczajeni do wszelkiej duchowszej strawy, do życia wreszcie zawodów i nadziei, do wrażeń dających piętno melancholii lub radosnych marzeń! Rano, kiedy się budzisz, widzisz z małego okienka twojego małego pokoju samych małych ludzi, małych urzędników, małe damy z ogromnemi tylko pretensyami, i małą w kastę przerodzoną arystokracyą. Kiedy wyjdziesz na rynek, na którym wcale niemałe błoto od wieków spoczywa, ujrzysz znowu małego pana sędziego, któremu gdy się przez nieuwagę nieukłonisz, niemały na siebie rankor ściągniesz, gdy się obrócisz do ogrodu spacerowego (każde miasto ma swoje bulwary), i przejdziesz się po chodniku deptanym codziennie li tylko przez samą kremę towarzystwa, zaraz obrzucony będziesz małemi szykanami, które cię znów małej nieprzyjemności nabawią. Gdy chcesz iść do jedynej małej cukierni i przeczytać jedynego małego Kuryerka, musisz zjeść wprzódy ze dwadzieścia małych ciasteczek nim się go doczekasz, a gdy masz interes do małego prezydenta miasta, znów małych dwie godzin poczekać musisz w przedpokoju. O! nudno jest w takich mieścinach! Jeżeliś jest młodym człowiekiem co w takim zakątku chcesz się tem bardziej całą duszą oddać pracy, nieoddając wszystkich ceremonialnych wizyt, bądź pewny, że jeżeli to w lecie, powiedzą żeś dziwak, głupiec, słowem filozof; a jeżeli to zaś w karnawał, bądź pewien, że wszystkie ciotki, mamy, wszystkie stare panny powiedzą żeś człowiek podejrzany, a wszystkie młode tanecznice, żeś bez wychowania. Powiada przysłowie, że kogo bogowie ukarać chcieli, stworzyli go bakałarzem, a ja dodaję: „i kazali mu osiąść w takiem miasteczku“. Czemże jest taki nauczyciel uczący w pocie czoła od rana do nocy, w oczach człowieka co jest na etacie z pensyą 3 tysięcy rocznie? czemże jest taki człowiek cichy, skromny, taki mól siedzący w książkach, zamykający się w sobie, w oczach ludzi, co jedną gazetę przeczytawszy raz w tydzień, rozprawiają o wszystkiem? Zerem, zapewniam państwa, mizernem zerem! Strzeż się młody człowieku czytać jakie książki, gdy mieszkasz w małem miasteczku, bo nazwa literata, którę ci przypną, okryje cię taką śmiesznością u wszystkich, że zaczniesz się na prawdę wstydzić każdej drukowanej kartki, ciasno ci się zrobi w sercu, jeszcze ciaśniej w głowie. Dowcipnie a trafnie powiedział Weber w swoim Demokritos, gdzie tę kwestyą jeszcze wyżej stawia, bo powiada: że nigdzie się więcej nie nienawidzą i nigdzie sobie więcej nie zazdroszczą jak w małych mieścinach. Może być że i w tem ma słusznie, gdy mówi: „że małe mieszczuchy nie śmią przyciągnąć mieszkańców dużych miast do siebie, ale przyczepiają sobie obcasy różnego rodzaju do trzewików aby być większemi. Pomimo tego w ciasnych miejscach muszą być i głowy ciasne i idee ciasne, inaczej nie czułby się nikt szczęśliwym.“ Nie przesądzam przeto iżby w małych miasteczkach niebyło ludzi światłych i z sercem, bo ludzie są wszędzie, i wszędzie można stać się pożytecznym ogółowi, ale ubolewam li nad tem piętnem wyciśniętem na fizyognomii takich miasteczek, któregoby wziąwszy się solidarnie za ręce pozbyć się można, lecz które podsycane coraz więcej wkorzeniającą się tradycyą bajczarską i próżniactwem, czyni nieznośnem zamieszkanie tamże.

W jednem to z takich małych miasteczek rezydował od lat już wielu wielce estymowany, wielki mający kredyt, pan podsędek Cygański. Pierwsze lat 6 po wyjściu z piątej klasy, przepędził w biórze pokątnego adwokata, resztę życia na wózku, na ulicy, gdzie się zdarzyło — słowem wszędzie wychodził z pod ziemi gdzie kłótnia dwóch zawziętych ludzi szukała ulgi w stósach aktów. I dobrze mu z tem było, bo ludzie od wiek wieków wolą się pokłócić jak od razu pogodzić, wolą się ścigać, niszczyć na majątku, zdrowiu i sumieniu, aniżeli podać rękę i powiedzieć: bracie pogódźmy się! Tej pierwszej zasady był także pan podsędek, który wszędzie gdzie było niesprawiedliwie, najoczywiściej dowiódł, że było jednak prawnie; — i tak zmęczył, nahukał, nagadał niewiedzącemu jak sobie radzić, że ten już na ślepo lazł z nim społem w błoto, topiąc tamże resztki wstydu i uczciwości. Nie dziw więc, że p. Podsędek który był wprzódy pseudo-adwokatem, utył nieznacznie, posażnie się ożenił, jedne dobra kupił, a z drugich wdowę sposobem arcy-prawnym bez ceremonii wyrzucił. Poczem zawiesiwszy malutki orderek na wąziutkich piersiach, został bez długich starań Wielmożnym Panem Podsędkiem, a swoją drogą Jaśnie Wielmożnym dziedzicem; ale rąk próżno bynajmniej nie założył, niósł swoje siły obywatelskie i dalej na usługi współrodaków, w zamian za lichą papierową monetę stojącą przecie niżej zawsze od brzęczącego złota.

Nie myślcie jednak, żeby p. Podsędek kochał się tylko w mamonie, kochał on się jeszcze w swojej córce Justynie. Justyna jedynaczka, była dla niego rodzajem rezerwoaru, na który wszystkie swoje niesprawiedliwości i szacherstwa zwykł był składać, ona mu służyła za wytłumaczenie się przed własnem sumieniem, że on

to wszystko dla niej, z miłości ku niej czyni, i była mu zarazem świetnym Eldorado zaszczytów i dostojeństw w starości, bo przez wydanie jej za mąż myślał się zrehabilitować i uświetnić w opinii. Dotychczas jednak, pomimo że się różni trafiali ludzie porządni i dostatni, p. Podsędek bezwzględnie ich odrzucał niepytając się bynajmniej o zezwolenie inaczej może myślącej córki. Skutkiem tego było najprzód odstrychnięcie się wszystkich od krętackiego pysznego bogacza, jak również melancholiczne usposobienie, w które popadła z natury sentymentalna panna Justyna. W braku przyzwoitego towarzystwa, w braku kochających koleżanek, a głównie domowego wychowania i wszelkiego wyższego wykształcenia, panna Justyna odpisywała czułe wiersze, które tu i ówdzie schwycić mogła, zbierała albumy stereotypowych życzeń, wydobywała ballady i najczarniejsze legendy, i niemi pasła zbolałą swą duszę. Z poezyi bawiło ją to tylko co brzmiało piorunami, okropnością, huraganem i łzami, a zresztą tylko romanse pełne najstraszniejszych zawikłań, morderstw, spisków, jak np. Tajemnice Londynu, Paryża, Żyd wieczny tułacz i t. p. Najwięcej jednak ceniła bohaterstwo takiego rozbójnika prześladowanego, ściganego losem i fatalnością, co to jak huknie, to najsroższych czterdziestu schyla w pokorze przed nim głowę, a jak gwiznie, to z pod podłogi, z pod lustra, z muru, z powały, wyskakują bandyci uzbrojeni od stóp do głowy, że aż mróz po ciele przechodzi. Rinaldo Rinaldini był w oczach jej człowiekiem wyższym, półbogiem, którego zapoznała policya, dosyć nieocenili potomni. Czytała go po tysiąc razy, zawsze z płomiennem okiem i naprężoną uwagą, — ojciec widząc ją tak ciągle, cieszył się i chwalił, że sama się kształcić potrafi bez niczjyego kierunku, niebaczny ile zarodu złego wyssać jest zdolne dziecię pozostawione najprzód niańkom, potem samemu sobie. To dziwaczne wczytanie sięw tym kierunku, to wieczne jej odosobnienie i pozostawienie własnym, dziecinnym a rozbujałym myślom, zrobiło ją jakeśmy rzekli nad miarę sentymentalną, nerwowo naprężoną, tęschną i zadumaną: — myślą sięgając do jakichś nieznanych jej zupełnie światów, wyzuła się mimowoli z wszelkiego ludzkiego i familijnego uczucia. Dla tego kiedy ojciec nieraz porwał ją w swoje ramiona i frenetycznie całował, ona zimno i z wlepiopionem w niebo melancholijnie okiem odsuwała niechętnie głowę; kiedy ojciec w największym zapale mówił o jej przyszłości, świetnej na łonie znakomitego i bogatego męża, ona lub poziewała, lub zdawała się wcale nierozumieć. Ta apatyczność zaczęła ojca srodze gryść i martwić. Powoli przekonywał się, że dał córce piękny pokój, aksamitny szesląg, i paryskie stroje, ale nie dał czegoś, co teraz zaczęło się odzywać ponurym metalowym dźwiękiem próżnego czy rozbitego dzwonu. Naujadawszy się ze stronami dzień cały, naschylawszy się nad różnemi pozwami, dekretami, biegł mimowoli przyspieszonym krokiem do domu, aby odetchnąć swojskiem uczuciem, serdeczną pogawędką, a zastawał zawsze tylko marmurową twarz, która zimno całowała kościstą jego rękę. Tego było mu nadto — pierwszy raz żałował skrycie swego życia, utyskiwał nad brakiem miłości i przyjaźni. Nieznający dotychczas pieszczot w gronie przywiązanych dzieci, poczciwych sług i przyjaciół, nagle zatęschnił, zamyślał się, często wzdychał, często nawet pomodlił, — ba nawet zamarzył. Biednyś każdy starcze, coś nie wyhodował jednego serca dla siebie, stokroć biedniejszy, jeżeli zostawiasz za sobą rozbite lub samowolnie zdeptane! Justyna stawała mu się teraz wyrzutem, czuł do niej żal, i posądzał ją w duchu o niesprawiedliwość, o niewzajemność za jego gorące ojcowskie przywiązanie. Długo szperał i szukał sposobów wyjścia z tego bolesnego położenia, nareszcie zdawało mu się że znalazł go w wyborze jak najprędszym męża dla Justyny. Otworzył więc dom swój, mniej przebierał w młodych uczęszczających dość pilnie zawsze do bogatego podsędka, wybór sam zostawiając tą razą zupełnie sercu Justyny. Ale panna Justyna ciągle milczała, teraz częściej tylko zasiadając przy ładnym wiedeńskim fortepianie z piosnką rycerską na ustach. Lecz mógłżeż się jej podobać pan podpisarz Remigiusz, który przyszedłszy z wizytą, usiadł zbyt skromnie w kąciku, i ust nie otworzył przez cały długi wieczór, lub pan Albert ciągle skaczący i ciągle powtarzający: „Ślicznie, wybornie, jak Boga kocham, chciałem powiedzieć parole“, — albo pan Krystyn prowadzący ciągle dyskurs z polityki, nie, nie, niemógł się jej podobać. Żaden się też nie podobał, czekał ojciec Messyasza, czekała córka aż nareszcie godzina wybiła i zjawił się ów a nasz bohater Ksawery.

Zjawił się on zaś sposobem najprozaiczniejszym, bo z listem od starego znajomego pana podsędka a polecającym sprawę niby nader ważną Ksawerego. Sprawa zaś była litylko pretekstem, w której gdyby się chciał należycie rozpatrzyć pan podsędek, dotarł by dna niezawodnie, ale pan podsędek czy zwąchawszy pismo lub Ksawerego nosem, czy zważając na zakończenie listu w którym stało: „że p. Ksawery jestto młodzieniec kwalifikujący się na arcy-zacnego i estymowanego obywatela“ nie wchodził w interes wcale, tylko kordyalnie zaprosił go raz na zawsze na obiady i herbaty do siebie podczas jego pobytu w mieście. A że w małem miasteczku kto niema znajomych lub książek, ten z rozkoszą czyta po tysiąc razy, ostrzeżenie rozlepione na błotnistej ścianie że nie wolno pocierać zapałką ani jakokolwiek walać ścian numera, więc też i Ksawery bojąc się podobnego rodzaju literatury, a zarazem pamiętając na swoje wysokie posłannictwo, z rozkoszą korzystał z zaproszenia i bywał codzień dwa razy. Pierwsze spotkanie się z panną Justyną było następne: Ksawery dowiedziawszy się o usposobieniu swej przyszłej, chciał ją odrazu zafrappować czemś oryginalnem, tchnącem poetycznością i eterycznemi obłokami. Poszedł więc do kościoła, oparł się o filar będący tuż koło przysionka przez który każdy pobożny wejść musiał, udrapował płaszczyk tak, żeby z jednej strony purpurowa podszewka biła w oczy, a z drugiej fałdy ponętnie nakształt tuniki opadały, rozrzucił włosy z zakrojem namiętności do góry, wlepił oczy, (dobrze je wprzód roztworzywszy) w jeden punkt sklepienia, przezco nabierać musiały pewnego wyrazu smutnego obłąkania (fixité), i tak spokojnie oczekiwał wrażenia pierwszej, mającej być stanowczą, chwili. Upłynął malutki kwadransik, — oczekiwana nienadchodziła, Ksawerego zaczęły z wytężenia oczy boleć, tak iż musząc je pomimowoli zmrużać, zaczynał się na seryo o stracenie efektu obawiać. W tem słyszy szelest, przeczucie (któż go nie doświadcza!) tknęło go że to ona,— nieustraszenie więc wraca na swoje stanowisko, dopiero kiedy panna Justyna rzeczywiście zaintrygowana z zadumą na niego popatrzywszy, tuż, tuż koło niego przejść miała, on odwrócił powoli głowę kierując swe oczy jakby z zdziwieniem na nią, a potem w zachwyceniu czyniąc gest wyrazisty — to jest kładąc rękę na sercu — ale my jako autor wiemy, że z pośpiechu chwycił się za bok prawy. Tego było nadto dla panny Justyny, zadrżała,— powoli usiadłszy na zwykłem miejscu w ławce, nie wzięła się do książki do nabożeństwa, ale jeszcze raz spojrzała w tamtą stronę, jeszcze raz boleśnie westchnęła, jeszcze raz pozwoliła się przeszyć dreszczem i potem dopiero odpięła klamrę u książki. Msza dziś zdawała jej się zbyt

długą, chciała jak najprędzej przejść znowu koło młodziana tak tęschnie zadumanego, także cierpienia ślady noszącego na twarzy, a który mówiąc nawiasem, znów do dawnej powrócił pozycyi. Msza się skończyła, panna Justyna wychodząc nie zastaje już młodziana przy filarze, ale przy kropielnicy i to podającego jej końce palców zmaczane święconą wodą do przeżegnania się. Panna Justyna zbladła, wyciągnęła drżącą rękę, ale cofając ją potem dla przeżegnania się, tak była pomięszaną, że zrobiła krzyż święty zaczynając od ust nie od czoła. Któż jednak opisze jej zdziwienie, pomięszanie i radość, gdy po kościele przyszedłszy do domu, i usiadłszy z ręką opartą na machoniowej krawędzi fotelu — słyszy nagle w bocznym pokoju ojca rozmawiającego z kimś obcym, a wkrótce potem tegoż wchodzącego do jej sanctuarium z rozpromienionym podsędkiem. Poznała w tej chwili nieznajomego, co wprawdzie nic trudnego nie było — i spuściła głowę cała zarumieniona, słuchając szumnej prezentacyi nadzwyczaj tą razą wesołego podsędka, a potem gdy głowę podniosła już ojca nie było, tylko sam młodzian przeszywający ją znów magnetycznie wzrokiem. Ksawery uczuł się tu zupełnie w swoim żywiole, zaczął oddychać nadzieją i pewnością, którą zdawało się że już stracił, przy pierwszych niefortunnych wyprawach. Czytając jak z książki wrażenie tak szybko wywarte, uczuł miłość własną pogłaskaną, iż nawet na seryo zaczęła mu się panna podobać. Panna Justyna nie była też wcale brzydką — miała bialutką twarzyczkę z bardzo milutkim i zdrowym rumieńcem, co ją wprawdzie do rozpaczy przywodziło, bo chciała być koniecznie bladą, oczy ciemne z długiemi rzęsami które umiała bardzo zręcznie odwoalowywać (musi być to wyrażenie), kibić smukłą, wzrost wspaniały. Ubierała się gustownie, tylko zmieniała zanadto często kolory, bo raz była czarno od stóp do głowy, to znów zielono jak jaki ogród warzywny, lub żółto jak hipochondrya. I to zależało od humoru, który był następstwem przeczytanej książki lub usłyszanej muzyki, lub powziętego planu, lub zrealizowanego marzenia. Tą razą była czarną — całą noc czytała historyę o strasznym Moroku pogromcy dzikich zwierząt.

Znękana jak po najsroższem nieszczęściu wstała rano, ubrała się stósownie do usposobienia w jakie ją lektiura wprawiła, machinalnie mówiąc pacierz przypomniała sobie, że to święto i że trzeba iść do kościoła. Ojciec zawsze rano wchodził do pokoju córki powiedzieć jej dzień dobry, dzisiaj także może znów po jakiej bezsennej nocy, przyszedł smutny i zadumany, i z czułością ucałował jej czoło. Lecz córka jeszcze była pod wrażeniem książki, jeszcze sobie wysnuwając świat jakiś nieszczęść i fatalnej grozy, z niechęcią potrącała o rzeczywistość, o dzienne sprawy, o zwykłe powszednie zatrudnienia, dla tego kiedy ojciec zapytał jej czy pójdzie do kościoła, odrzekła oschle:

— Przecież zawsze chodzę, — a potem dodała — a nawet dziś trzeba mi się iść pomodlić.

Wyszedł ojciec jeszcze smutniejszy — Justyna jakeśmy widzieli poszła do kościoła, zobaczyła Ksawerego, zajęła się jego postawą, wróciła oparłszy się ręką na machoniowym fotelu, z biciem serca wysłuchała prezentacyi młodzieńca, a z jeszcze większem pozostała z nim sam na sam. Dajemy tu próbkę rozmowy:

— Pani się dzisiaj bardzo modliła, widziałem.

— Owszem... dzisiaj mniej czegoś, tak byłam rozstrojoną bezsennie przepędzoną nocą... czytałam...

— Ah i ja całemi nocami z passyą czytam, zwłaszcza kiedy cichość naokół panuje, kiedy świat zewnętrzny znużeniem spowity, zasnął na grobie całodziennych wspomnień. (Ksawery nabrał już pewnej rutyny w oświadczaniu się, nie dziwmy się więc temu postępowi w poetyczności choćby słów tylko).

— Jak mnie to cieszy, że są przecie ludzie, co lubią czytać, zapewne i marzyć jak ja — u nas tutaj taka pustka, taki ugór we wszystkiem, co wychodzi z ramek rzeczywistości... (głęboko i szczerze westchnęła, Ksawery także, z obowiązku).

— O ja panią zupełnie pojmuję, że życie pani przykrem tu być musi, pani której duszę, zdaje mi się za pierwszym rzutem oka poznałem... są bowiem chwile tak święte, tak urocze, tak błogie, i... (Zaciął się, ale panna Justyna *toute haletante* nie dała mu dokończyć, oh! — krzykło w jej piersi — oto człowiek któregom wymarzyła, on ma chwile święte i urocze! dodała więc za niego...)

— Tychże chwil niestety za dużo, bo z kimże się niemi podzielić!....

— Największem szczęściem byłoby dla mnie, gdybyś pani pozwoliła czasem towarzyszyć sobie rozmową!

— Więc pan tu na dłuższy czas zostaje?

— Interesa moje tego wymagają, a potem czuję, że teraz chciałbym aby one potrwały długo, bardzo długo...

Panna Justyna spuściła głowę, Ksawery zamilkł robiąc trochę piersiami — nastąpiło chwilowe milczenie. Nareszcie ocknęła się Justyna i nagle zapytała:

— Czy pan lubisz czytać o zbójcach?

Ksawery ogromnie się zmięszał niewiedząc czy zapytanie jest żartem, zasadzką lub szczerością, wycedził więc z cicha i dyplomatycznie:

— Oo... niezawodnie, że...

— Niewierzysz pan ile podobni ludzie, raczej nieszczęśliwi niż zbrodniarze, mogą zająć wyobraźnią, ich przygody niezwyczajne będące wynikiem fatalnego zrządzenia, nienawiści ludzi, mają przecież swoją odrębną poetyczną cechę, — dzisiaj znowu czytałam poraz dwudziesty może Żyda wiecznego, cóżto tam scen przerażających, wzniosłych, serce rozdzierających...

— Oh niezawodnie że Dumas porywa...

— To Sue.

— Chciałem powiedzieć Sue — o ja się bardzo cieszę, że mam z panią te same gusta...

— Ależ to więcej jak gust...

W tym sensie była pierwsza pogadanka, lecz i tu Ksawery często był w kłopocie, nieznając francuskich romansów — natychmiast przeto jak wrócił do hotelu, posłał do jedynej miastowej czytelni po Żyda wiecznego, Matyldę, wszystkie Tajemnice świata. Całą noc czytał zacięcie, Rinaldiniego znał na palcach, — a na drugi dzień już trochę pewniejszy, zwłaszcza że odgadł usposobienie Justyny, udał się z drugą wizytą.

(Dok. nast.)

Swięcone

u mieszczanina krakowskiego w połowie XVIgo wieku,

jak je opisał *Mikołaj Pszonka*, dworzanin hetmana Tarnowskiego żonie swojej.

Nie potrafię wypowiedzieć, ani dać obrazu waszeci, sercem najukochańsza Salusiu, jaki tu rozgardyasz panuje podczas świąt wielkanocnych Zmartwychwstania Pańskiego. A toż to nic nie widziałech i nie słyszałech podobnego w naszych stroniech. Tu mieszczanin może nabuczyć się jak pan wojewoda, bo ma też w co. Wnijdziesz do komnaty, a to jakoby do skarbcu. Na ścianach bogate obicia, szafy napełnione misami, krużami, puharami, srebrnemi czarami, aże ślepią ci oko. Sama gosposia w zausznicach od rubinów, brylantów: perły na szyi jak groch największy, a tego nie para, ale pięć, ośm drugdy sznurków, a jedna

w drugą jak łza. Nie będę waszeci opisywał onych szat jedwabnych, bo sama, przy pomocy Boskiej, masz też takoż na siebie co wdziać. Dziewki, przyznam się sumiennie waszeci, gdyby Dyanny chędogie, a prześliczne jedna nade drugą. Sami mieszczanie bogaci, najwięcej chodzą czarno. Oj gdybyś waszeć zobaczywała szpinki! szpinki u szyje tych Krezusów! a toż to, Panie odpuść, diabeł im pieniędzy na to dodawać musi. Ano też oni handle prowadzą z połową świata. Niedziw: aza to mało niesie?

Ale już czas wielki, abych waszeci opisał, bo ci to będzie miłe czytanie, a Bogiem się sumituję, że wszystko prawda szczera, com widział i pożywał na święconemu jmci pana Mikołaja Chroberskiego, rajcy, mieszczanina uczciwego prawdziwie, ba i wielce tu znaczącego, bo nawet u króla jmci nieosobliwość mu widzianym być. Zaprosił on tedy na święcone jmci pana hetmana, naszego pana pryncypała, z nami dworzany kilkoma, prosto z wotywy w kościele N. Panny Maryi, gdzie miłościwy pan, najjaśniejszy król, z prześliczną królową swoją Basią (tak jej zawżdy mówi), z całym dworem i przedniejszemi pany pobożnie w dzień poniedziałkowy znajdował się, a celebrował mszą ś. ksiądz Petrycy, wielki jak słych faworyt Najmiłościwszego Pana. Jak się tedy szczęśliwie przy bożem błogosławieństwie zakończyła msza ś., pojechał nasz jaśnie wielmożny w swojej karocy, a my za nim na koń, prosto przed dom jmci pana Chroberskiego na ulicę Bracką. Weszlichmy do wielkiej izby, tuż przy boku pańskim, bo też dziwnie tego dnia pełny był łaskawości i dobroci; boć niezawżdy mu to trafia się; ale też kiedy już dobry, tobyś go wasze z anioły posadziła. W progach witany od jmci pani Chroberskiej, prześliczny zrobił jej affekt, a córę ich rozkwitającą jakoby pączek róży, jmci pannę Agnieszkę, najmilej pocałował w czoło, zaraz pokręcił wąsa, i błysnął na nią okiem. Anoli odwarły się drugie drzwi dębowe i perłową macicą i hebanem wykładane, aż tam ja oczy zgubił, choć mi nie nowina bogactwa widzieć, ale też żeby u mieszczanina i żech nie wiedział jeszcze co to Kraków. Otóż, gdybyś waszeć patrzyła, stół okrągły na środku wielki dębowy, żeby stu ludzi około niego wygodnie siadło i jadło. Obrus jeden na nim wielki, ale w krzyż zeszywany, tak że ledwie się wpatrując bardzo, poznać to. Bo to na nim co tu powiadam, bom sobie dobrze każdą rzecz na pamięć brał, abych waszeci rzetelną relacyą zdać mógł. Na sześciu misach srebrnych roboty wspaniałej, były mięsiwa wędzone wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrągluchnych, kiełbasy najmniej po cztery łokcie długie, a dziwnie pachnące i koloru kokosowego, ciemnawego, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowe. Mięsiwo miało cudną powłokę z tłuszczu w różową barwę wpadającą. Pomiędzy temi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Poncyusz Piłat wyjmował kiełbasę z kieszeni Mahometowi, a wiadomo że Żydzi i Turek nie jedzą wieprzowego, więc to na nich epigramma było pocieszne. Na samym środku stołu, stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki; ale jabych za cały stół rad był wziął jemu oczy. A wszakoż to były dwa brylanty jak laskowe orzechy, w czarnej oprawie, *alias* pierścienie ukryte w maśle, których tylko tyle widać było, ile było potrzeba na ukazanie oczu. Tego baranka, na którym wełna maślana nie do poznania była od prawdziwej, robiła sama jmci panna Agnieszka z rodzicem swoim. Pan hetman długo mu się przypatrował; ale co tam u niego znaczą brylanty, kiedy sam ich ma pełną rękojeść u karabeli. Tylko go robota cieszyła, że mało jadł, tylko weń patrzał i na jmci pannę Agnieszkę. Stary kilka razy poprawił karabelę, co znaczy u nas, że kontent i pełen affektu. Dalej tedy stały bańki srebrne wyzłacane z octem, oliwa i cztery krużę wielkie starego miodu, na tacach srebrnych wyzłacanych, obstawione czarami także. Dalej srebrne łódeczki z konfektami wszelakich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał, a to wszystko smażone przez jmci pannę Agnieszkę na jesieni; bo to śliczne pieścidełko podobne jest do pszczółeczki, co zawczasu opatruje się na wszelkie przygody. Stało też wino w gąsiorkach, prawda szklanych, ale te gąsiorki stały w koszykach srebrnych wyzłacanych, a główki miały śrubowane w zawoje srebrne, a szkło białe jak śnieg i gładkiej bardzo roboty.

Pomijam inne drobniejsze rzeczy; aza już czas przystąpić do najważniejszych, które i wasze Saluniu nie mało sobie lubujesz, to jest do kołaczów, placków, jajeczników, maczników i Bóg spamięta ich miana, tych cudaczków rozmaitych, które okrążały jeden najpoważniejszy kołacz. Kołacz ten był owalowy; miał cyrkumferencyi z ośm łokci, jeśli nie więcej; gruby na dwie piędzi, a jakeśmy tylko weszli do izby, to nam już zapachniał swojemi przyprawami. Po brzegach w około niego stały różne figurki: święci dwunastu apostołowie, udani jak żywo, a to wszystko z ciasta. Judasz mię bardzo zabawił. Przypominasz sobie wasze, Saluniu, owego pana Giełbutowskiego, owego to bezecnego roztrucharza, co mi za moję klacz źrebną dawał ślepego podjezdka, a sumitował się Bogiem, że nie ma żadnego defektu i całował mię: takuteńki rudowąs i szafraniec. W środku stał Zbawiciel nasz Pan Jezus Chrystus z chorągiewką, a nad nim unosił się anioł na druciku od szabaśnika izdebnego nieznacznie w górze zawieszony, iże zdawało się jakoby leciał po niebie i z gęby wychodziły mu słowa: *Resurrexit, sicut dixit, Alleluja!* Inne placki wyobrażały różne zjawiska. Zabawiła mię kąpiel; bo to był taki jeden placek, co miał w środku sadzawkę z białego miodu i wyglądały z niej rybki i nimfy kąpiące się, a Kupid strzelał do nich z łuku, ale zamiast w serca, to im bezecnik, Panie odpuść, mierzył w *śliczne oczka*, które zasłaniały sobie od wstydu. Robota tego była bardzo sztuczna: nic podobnego nie zdarzyło mi się widzieć i u wielkich panów.

Zaczęło się tedy po zmówieniu zwyczajnych modlitew pożywanie daru Bożego. Jmć pan hetman bardzo, jako wyżej powiedziałem, ochoczy, prosił aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. Jadł wszystkiego po trochu, napił się miodu. Wina nie chciał, mówiąc: *bodajmy go nie znali! dużo nam szkodzi ten trunek.* Zapłonił się na te słowa imci pan Chroberski, bo mu dał poznać, że zbytek nie chlubą dla nas, a i sprawiedliwie. Potem jmć pan hetman podał święconego jajka każdemu, zacząwszy bez ogródki od jmci panny Agnieszki, która się także zaczerwieniła, i podziękę skromną zrobiwszy, zjadła. My, jak się wasze dorozumiesz, czekaliśmy z wielką estymą, aż jmć pan hetman pozwoli nam przysunąć się bliżej do stołu, co też nastąpiło; bo niedługo rzekł: „Używajcie Waszmość Panowie hojności gospodarza, a skromnie i *honeste*.“ Sam zaś pokłoniwszy się, i znowu jmć pannę Agnieszkę pocałowawszy w czoło, i powiedziawszy jej: *żeby swoje wdzięczne lica ukrywała przed królem jmcią*, pożegnał wszystkich łaskawie i odjechał na zamek. Tu my dopiero zaczelichmy repetować, co daj Boże. Miód i kołacz najgorzej trzeszczał. Zapomniałem waszeci powiedzieć, że w nim było sera ze trzy kamienie, miodu tyleż, innych przypraw nie liczę, dziwnie smaczny. Pan Śniatycki tak jadł, że się ledwie nie dławił.

Aż też przyszli żaki z oracyami, Boże odpuść, pełnemi banialuk, że ich zesłuchać nie możono, które Ks. Dominikanie nabazgrali. Głodomory te straszliwie się oblizowały, ale też nie na sucho odeszli. Każdy z nich dostał po całym bochnie chleba, po garnuszku przaśnego miodu, po kawałku *plus minus* pół łokciowym wędzonej twardej kiełbasy z gorczycą, po kromie udźca wieprzowego, opieprzone, jak Bóg przykazał. Pan Ocieski Kaźmirz śmiał się jak opętany z jednego pacholiska, co był przebrany za Piłata; miał brodę z konopi, a brwie nad oczyma ze mchu brzozowego. Pan Milecki, powinowat jmci pana hetmana, miasto na święcone, to na pannę Agnieszkę wielki mark robił, tak jakby ją chciał zjeść. Godnie w tym naśladuje jmci pana hetmana; żeby tak we wszystkiem! W otwartości, szczerości i affekcie staropolskim odbyliśmy tę na chwałę Opatrzności Pana Boga, katolicką biesiadę. Każdy pożył co chciał, nikt nie zalał, ale przy wesołem *Alleluja* rozeszlichmy się i dosiadłszy koń w imię Boże ruszylim na zamek, gdzie była radość z Zmartwychwstania Pańskiego. Wszyscy dworzanie j. k. mości i panów pospołu w dolnych izbach pili, jedli, a pamiętając na uroczystość święta Bożego, zbytku strzegli.

Tyg. Illustr.

Opisanie ryciny mód paryskich za miesiąc kwiecień:

(Dołączają się ryciny, dla Prenumerujących na nie).

Tualety wiosenne. *Ubranie pierwsze.* Suknia wycięta, zwana „princesse“ z tafty jasno-niebieskiej, zdobna obszyciem karbowanem z czarnej tafty. Półkoszulek w zakładki i wstawki haftowane. Rękawki bufiaste, muślinowe, z mankietem haftowanym i wyłożonym przy ręce. Parasolka pokryta guipurą na drutach robioną. Na głowie siatka z czarnej smelki z ubraniem z aksamitu czarnego i niebieskich wstążek. Rękawiczki duńskie.

Ubranie drugie. Suknia z materyi grosgrin, na tle czarnem rzucane bukiety z kwiatów wiosennych, i ozdobiona guzikami na przodzie spodnicy. Stan pod szyję, zapięty na guziczki, okrągły w pasie. Rękawy nie zbyt szerokie. Kołnierz i rękawki zdobne koronką. Kapelusz z krepy zielonej ubrany w pióra i czarne koronki. Podpięcie z białej blondyny i gałązek polnych kwiatów. Parasolka zielona. Rękawiczki glansowane.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.

DODATEK.